

Grobowiec

Abym przynajmniej w śmierci mógł odpocząć w ciszy*.
Wergiliusz



O powiadając o okolicznościach, które sprawiły, że zamknięto mnie w tym przytułku dla obłąkanych, jestem świadom, że moje obecne położenie wzbudza naturalne wątpliwości co do autentyczności mej relacji. Tak się niefortunnie składa, że ogół ludzkości jest nazbyt ograniczony w swej myślowej przenikliwości, żeby cierpliwie i inteligentnie rozważyć owe odosobnione zjawiska, które postrzega i odczuwa jedynie garstka jednostek o wrażliwej psychice, leżące poza zasięgiem potocznego doświadczenia. Ludzie o rozleglejszym intelekcie wiedzą, że nie ma wyraźnego podziału na to, co rzeczywiste i nierzeczywiste, że wszystkie rzeczy jawią nam się w dany sposób wyłącznie dzięki delikatnym indywidualnym przekaznikom fizycznym i umysłowym, poprzez które jesteśmy uświadamiani o ich istnieniu. Prozaiczny materializm większości potępia wszakże jako obłąd owe przebliski superwidzenia, które przenikają pospolitą zasłonę oczywistego empiryzmu.

Nazywam się Jervas Dudley. Od najwcześniejszego dzieciństwa byłem marzycielem i wizjonerem. Dostatecznie majątny, by nie musieć zajmować się interesami, z temperamentem nieprzysposabiającym mnie do formalnych studiów ani grupowych rozrywek mych znajomych, pomieszkowałem zawsze w królestwie odrębnym od świata widzialnego; lata chłopięce i młodzińcze spędziłem wśród starożytnych i mało znanych ksiąg oraz na wędrówkach skroś pól

* [dotyczy strony poprzedniej] *Eneida*, ks. VI, tłum. Zygmunt Kubiak (wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza).

i gajów w pobliżu swej rodowej siedziby. Nie sędzę, bym w tych księgach oraz polach i gajach czytał i widział dokładnie to, co czytali i widzieli w nich inni chłopcy; o tym wszakże nie mogę wiele mówić – szczegółowsze zwierzenia byłyby tylko potwierdzeniem owych okrutnych oszczerstw pod adresem mego intelektu, które dolatują mnie niekiedy z szeptań czających się naokoło pielęgniarzy. Wystarczy, jeśli opowiem, co zaszło, nie analizując przyczyn.

Powiadam, że mieszkałem oddzielony od świata widzialnego, nie powiedziałem wszelako, że mieszkałem samotnie. Nie jest do tego zdolna żadna ludzka istota; albowiem gdy brak towarzystwa żywych, nieuniknienie szuka się towarzystwa istot, które nie są – lub już nie są – żywe. Nieopodal mego domu leży osobliwa lesista kotlina, w której półmrocznych głębiach spędzałem większość czasu, czytając, rozmyślając i marząc. Na jej omszałych zboczach stawiałem pierwsze dziecięce kroki; wokół tamecznych groteskowo sękatych dębów osnuwały się nici mych pierwszych chłopięcych fantazji. Zaprawdę bliską zawarłem znajomość z mieszkającymi w tych drzewach driadami, często przyglądałem się ich dzikim płasom w wysiłonych promieniach zanikającego księżyca – lecz o tych rzeczach nie mogę teraz mówić. Opowiem jedynie o samotnym grobowcu w najciemniejszej gęstwie na stoku kotliny, opuszczonym grobowcu Hyde'ów, starej i dostojnej rodziny, której ostatniego potomka złożono w tym mrocznym zaciszu wiele dziesięcioleci przed mymi narodzinami.

Loch, o którym mówię, wzniesiony jest z prastarego granitu, zwietrzałego i odbarwionego przez mgły i wilgoć wielu pokoleń. Wbudowany w stok kotliny widoczny jest tylko od strony wejścia. Wrota – masywny i groźny blok granitu – wiszą na zardzewiałych zawiasach żelaznych i w osobliwie złowieszczy sposób unieruchomione są w pozycji uchylonej za pomocą ciężkich żelaznych łańcuchów i kłódek, podług makabrycznej mody sprzed półwiecza. Siedziba rodu, którego potomkowie są tam pochowani, stała ongiś na szczycie wzniesienia, w którym mieści się grobowiec, lecz dawno już padła ofiarą płomieni wzniesionych przez tragiczne uderzenie pioruna. O burzy, która o północy zrujnowała posępną rezydencję,

starsi mieszkańcy okolicy opowiadają niekiedy ściszonymi i niespokojnymi głosami; napomykają o czymś, co zwa „boskim gniewem”, sposób zaś, w jaki to czynią, w latach późniejszych niejasno potęgował we mnie i tak już silną fascynację, jaką budziło skryte w leśnym mroku mauzoleum. Jeden tylko człowiek zginął w pożarze. Ostatniego z Hyde’ów pochowano w tym siedlisku cieni i ciszy, kiedy nadeszła smutna urna z prochami z dalekiego kraju, do którego rodzina udała się po spłonięciu rezydencji. Nie pozostał nikt, kto kładłby kwiaty przed granitowym portalem, niewielu ma ochotę stawić czoło przygnębiającym cieniom, które zdają się unosić dziwacznie nad pożłobionymi przez wodę kamieniami.

Nigdy nie zapomnę tamtego popołudnia, gdy po raz pierwszy napotkałem ów na poły ukryty dom śmierci. Było to w środku lata, gdy alchemia Natury przeistacza leśny pejzaż w żywą i bujną, niemal jednorodną werdiurę, gdy zmysły są nieledwie odurzone wzbierającymi morzami wilgnej zieloności oraz subtelnie nieuchwytnymi zapachami ziemi i roślin. W takim otoczeniu umysł traci perspektywę, czas i przestrzeń stają się trywialne i nierzeczywiste, a echa zapomnianej prehistorycznej przeszłości biją natarczywie w oczarowaną świadomość. Przez dzień cały przemierzałem mistyczne gaje w kotlinie, snując myśli, których nie potrzeba przytaczać, i gawędząc z istotami, których nie potrzeba nazywać. Będąc dziećciem dziesięcioletnim, zdążyłem już ujrzeć wiele cudów bądź usłyszeć o dziwach nieznanym pospółstwu; jakoż i pod pewnymi względami byłem niezwykle postarzały. Gdy przedarłszy się między dwiema rozbestwionymi kępami głogu, niespodzianie natrafiłem na wejście do lochu, nie miałem pojęcia, co właściwie odkryłem. Ciemne bloki granitu, osobliwie uchylone drzwi oraz nagrobne rzeźbienia nad wejściowym łukiem nie wzbudziły we mnie żadnych żałobnych czy trwożliwych skojarzeń. O grobach i grobowcach wiedziałem i wyobrażałem sobie dużo, lecz ze względu na niepospolitość mego charakteru nie dopuszczano mnie do osobistego kontaktu z cmentarzami ani grobami na przykościelnych dziedzińcach. Dziwny kamienny dom na lesistym zboczu wzbudził we mnie wyłącznie ciekawość i domysły; jego zimne, wilgotne wnętrze, do którego daremnie starałem się zaj-



rzeć przez rozchyloną kusząco szczelinę, nie kojarzyło mi się zgoła ze śmiercią ani z rozkładem. Lecz w owej chwili zaciekawienia zrodziło się we mnie szaleńczo bezrozumne pragnienie, które doprowadziło mnie do obecnego piekielnego uwięzienia. Znałony głosem pochodzącym najpewniej z ohydnej duszy lasu, postanowiłem wniść w ten nęcący mrok na przekór łańcuchom broniącym mi wstępu. W gasnącym świetle dnia to szarpałem owe zardzewiałe przeszkody, licząc, że zdołam rozewrzeć kamienne wrota, to usiłowałem przeciśnąć swą smukłą postać przez istniejącą szczelinę – wszelako żaden z tych zamiarów się nie powiódł. Zrazu byłem tylko ciekaw, teraz trawiła mnie gorączka; i gdy w gęstniejącym zmroku wróciłem do domu, poprzysiągłem stu bogom mieszkającym w zagajniku, że któregoś dnia bez względu na koszt sforsuję wejście do tej czarnej, chłodnej czeluści, która zdawała się mnie wzywać. Lekarz o stalowoszarej brodzie, który codziennie przychodzi do mego pokoju, powiedział kiedyś jednemu z gości, że to postanowienie dało początek pożałowania godnej monomanii; pozwolę wszakże, by ostateczny osąd wydali czytelnicy, gdy już dowiedzą się wszystkiego.

Miesiące, które nastąpiły po tym odkryciu, spędziłem na daremnych próbach sforsowania skomplikowanej kłódki, na którą zamknięte były uchylone drzwi do lochu, oraz ostrożnych indagacjach na temat natury i historii tej budowli. Po chłopcemu chłonny słuch pozwolił mi się dowiedzieć wiele, wrodzona skrytość sprawiła zaś, że nie zdradziłem się przed nikim z posiadaną wiedzą i powziętym postanowieniem. Warto może wspomnieć, że wcale nie byłem zdziwiony ani strwożony, gdy poznałem naturę lochu. Moje dość oryginalne poglądy na temat życia i śmierci spowodowały, że zimny zewłok kojarzył mi się mgliście z żyjącym, oddychającym ciałem; czułem też, że wielki i posępny ród ze spalonej rezydencji jest jakoś reprezentowany w owej kamiennej przestrzeni, którą staram się zgłębić. Zasłyszane pokątnie gawędy o dziwacznych rytuałach i bezbożnych uciechach, jakim w dawnych latach oddawano się w prastarym dworze, rozpały we mnie jeszcze potężniejsze zainteresowanie grobowcem, przed którego wrotami przesiadywałem po kilka godzin każdego dnia. Jednego razu wrzuciłem zapaloną świe-

cę w niedomknięte wejście, lecz nie ujrzałem nic prócz wilgotnych kamiennych schodów prowadzących w dół. Woń bijąca ze środka odpychała mnie, a zarazem urzekała. Czułem, że znałem ją wprzód, w odległej przeszłości, w którą nie sięga pamięć, w której nie byłem jeszcze nawet mieszkańcem swego obecnego ciała.

Rok po tym, jak po raz pierwszy ujrzałem grobowiec, wśród książek na strychu mego domu wpadł mi w ręce zjedzony przez robaki przekład *Żywotów* Plutarcha. Gdy czytałem o życiu Tezeusza, poruszył mnie ustęp opowiadający o wielkim głazie, pod którym bohater ów miał znaleźć przedmioty wskazujące na swe przeznaczenie, kiedy tylko wyrośnie z wieku chłopięcego i zdoła odwalić jego potężną masę. Ta legenda osłabiła palącą niecierpliwość, z jaką dotąd usiłowałem dostać się do lochu, skłoniła mnie bowiem do przekonania, że nie nadszedł jeszcze po temu właściwy czas. Kiedyś – powiedziałem sobie – nabiorę siły i sprytu, dzięki którym z łatwością rozmołam ciężkie łańcuchy; tymczasem lepiej uczynię, naginając się do tego, co wygląda na wolę Losu.

Zgodnie z tym postanowieniem moje warty przed wilgotnym portalem stały się mniej uporczywe, większość czasu spędzałem na innych, równie dziwnych poszukiwaniach. Czasami wstawałem nocą po kryjomu i wymykałem się na przechadzki po cmentarzach i miejscach pochówku, do których nie dopuszczali mnie rodzice. Co tam robiłem, powiedzieć nie mogę, bo nie jestem już pewien realności niektórych spraw; wiem jednak, że nazajutrz po takich nocnych włóczęgach często zdumiewałem otoczenie wiedzą o rzeczach, które z biegiem pokoleń niemal do cna uległy zapomnieniu. Po jednej z owych nocy wprowadziłem wszystkich w osłupienie cudacznym konceptem na temat pochówku zasłużonego w dziejach lokalnych, bogatego i sławnego sędziego pokoju Brewstera, na którego grobie łupkowa stela z wyrytą datą 1711 i czaszką z pieszczelami pomału rozpadała się w pył. W przypiływie dziecięcej imaginacji zaklinałem się, że grabarz Goodman Simpson przed pogrzebem skradł zmarłemu buty ze srebrnymi sprzączkami, jedwabne pończochy i brycesy, a na dodatek sam sędzia, nie do końca umarły, nazajutrz po ceremonii dwakroć obrócił się w przywalonej ziemią trumnie.

Zamiar wtargnięcia do grobowca Hyde'ów mimo wszystko nigdy mnie nie opuścił, przeciwnie, wzmocniło go niespodziewane odkrycie genealogiczne, że moi przodkowie po kądzieli byli daleko spokrewnieni z tą rzekomo wygasłą rodziną. Jako ostatni ze swego rodu byłem też więc ostatnim z tamtej, bardziej tajemniczej linii. Zacząłem czuć, że grobowiec jest mój, z palącą gorliwością oczekiwałem chwili, gdy będę mógł wniknąć przez kamienne wrota i zstąpić po śliskich kamiennych stopniach. Weszło mi w zwyczaj niezwykle wytężone nasłuchiwanie przed uchylonym portalem, za ulubioną porę tych dziwnych czuwań obierałem zaś sobie ciche godziny nocy. Przed osiągnięciem dorosłości wykarczowałem niewielką polanę w zaroślach przed opleśniałą fasadą, pozwalając, by dookolna roślinność otoczyła tę przestrzeń i zakryła ją od góry na podobieństwo dachu i ścian leśnej altany. Ta altana była moją świątynią, unieruchomione drzwi moim sanktuarium – tam wyciągałem się na mszystej ziemi, snując dziwne myśli i śniąc dziwne sny.

Noc pierwszego objawienia była parna. Z wyczerpania najpewniej zasnąłem, bo gdy usłyszałem głosy, miałem niejasne poczucie, że się budzę. O tonach i akcentach tych głosów waham się mówić; o ich właściwościach mówić nie będę; mogę wszakże powiedzieć, że w niesamowity sposób różniły się między sobą słownictwem, wymową i artykulacją. Mętna konwersacja zdawała się mienić wszystkimi odcieniami nowoangielskiego dialektu, od nieokrzesanych zgłosek purytańskich kolonistów po precyzyjną retorykę sprzed półwiecza – jakkolwiek uzmysłowiłem to sobie dopiero później. W tamtej chwili uwagę moją przykuło inne zjawisko, tak ulotne, że nie przysiągłbym, czy było rzeczywiste. Odniosłem mianowicie nikłe wrażenie, że w chwili, gdym się zbudził, w zapadłym grobowcu pośpiesznie zgaszono światło. Nie wydaje mi się, by zdumiało mnie to bądź zatrwożyło, lecz wiem, że owej nocy zostałem potężnie i trwale odmieniony. Wróciwszy do domu, bez wahania udałem się na strych i zajrzałem do stojącej tam gnijącej skrzyni, i znalazłem w niej klucz, a nazajutrz z łatwością pokonałem dzięki niemu barierę, którą od tak dawna daremnie szturmowałem.

Kotlina zalana była miękkim blaskiem późnego popołudnia,

gdym po raz pierwszy wkraczał do lochu wydrążonego w zapuszczonym zboczu. Byłem zaczarowany, serce podskakiwało mi z radości, której nie umiałbym należycie opisać. Gdy zamykałem za sobą wrota i zstępowałem po ociekających wilgocią schodach, świecąc sobie pojedynczą świeczką, czułem się tak, jakbym znał drogę; i choć świeczka skwierczała w smrodliwych wyziewach, byłem osobiwie oswojony z zatęchłym grobowym powietrzem. Rozglądając się dookoła, ujrzałem liczne marmurowe płyty, na których stały trumny lub szczątki trumien. Niektóre były zapieczętowane i nietknięte, inne już prawie zanikły, zostały z nich jedynie srebrne uchwyty i tabliczki leżące samotnie wśród osobliwych kupek białawego pyłu. Na jednej tabliczce przeczytałem nazwisko sir Geoffreya Hyde'a, który przybył z Sussex w 1640 roku i zmarł tu kilka lat później. W okazałej alkwie stała trumna szczególnie dobrze zachowana i niezamieszкана, ozdobiona pojedynczym imieniem, które wzbudziło we mnie uśmiech pospołu z dreszczem. Dziwaczny impuls kazał mi wspiąć się na szeroką płytę, zgasić świecę i położyć się w tej pustej skrzyni.

W szarym świetle brzasku wyszedłem chwiejnie z lochu i zamknąłem za sobą wrota na łańcuch. Nie byłem już młodzieńcem, choć dopiero dwadzieścia jeden zim zmroziło moją cielesną powłokę. Wieśniacy, którzy zdążyli już wstać i obserwowali mój powrót do domu, patrzyli na mnie dziwnie i zdumiewali się, że ten, co dotąd wiódł żywot trzeźwy i samotny, wygląda tak, jakby wracał z ordynarnej hulanki. Rodzicom pokazałem się na oczy dopiero po zażyciu długiego i odświeżającego snu.

Od tamtej pory nawiedzałem grobowiec co noc – i widziałem, słyszałem oraz robiłem rzeczy, których nie wolno mi wyjawiać. Moja mowa, zawsze podatna na wpływy środowiska, pierwsza zaczęła podlegać zmianie; rychło dało się zauważyć, że nagle zacząłem wyrażać się w sposób archaiczny. Później jałem przejawiać niespotykaną pierwej dziarskość i zuchwałość w zachowaniu, a wreszcie, choć zawsze wiodłem żywot samotniczy, nieświadomie nabrałem manier człowieka światowego. Mój milczący dotąd język nabrał swady, popisywał się niewymuszoną gracją rodem z Chesterfielda i bezbożnym cynizmem Rochestera. Zdradzałem osobliwą erudycję, zu-

pełnie nieprzystającą do fantasmagorycznych, mniszych mądrości, nad którymi ślęczałem za młodu, i zapelniałem marginesy książek błahymi improwizowanymi epigramami przywodzącymi na myśl twórczość Gaya, Piora oraz najbardziej krotchwilnych żartownisiów i rymopisów augustiańskich*. Pewnego ranka przy śniadaniu omal nie spowodowałem katastrofy, gdy trysnąłem wesołością rodem z osiemnastowiecznych bachanaliów, deklamując na wyraźnie pijacką modłę biesiadny fragmencik w georgiańskim stylu, nieodnotowany w żadnej książce, o treści mniej więcej następującej:

Pójdźcie, druhowie, z kuflami piwa,
Świętujcie chwilę, dopokąd ma trwać;
Kładźcie na talerz pagóry mięsiwa,
Bo tylko uczta cieszy naszą brać:
Więc w górę szklanice,
Bo krótkie jest życie;
Martwy nie wypijesz za króla i pannicę!

Czerwony – mówią – miał nos Anakreont;
Cóż z tego, jeśliś jest wesół i rad?
Na Boga! Wolę być żyw i czerwony
Niż biały jak lilia – i zimny jak głąz!
Więc całuj mnie, Bietko,
Karczmarza córeczko;
W piekle bez ciebie nie będzie tak lekko!

* Philip Dormer Stanhope, hrabia Chesterfield – osiemnastowieczny polityk i dyplomata angielski; jego *Letters to His Son* (Listy do syna) stały się podręcznikiem manier dla wytwornych dżentelmenów; John Wilmot, hrabia Rochester – sławny siedemnastowieczny awanturnik angielski, autor frywolnych wierszy satyrycznych; John Gay – poeta i dramatopisarz angielski tworzący w pierwszej połowie XVIII w.; Matthew Prior – poeta angielski z przełomu XVII i XVIII w., tworzący w stylu klasycznym. Czasy augustiańskie – okres w historii literatury angielskiej przypadający na pierwszą połowę XVIII w., charakteryzujący się m.in. rozkwitem satyry.

Harry, choć jeszcze się trzyma nielicho,
Wnet straci perukę i spadnie pod stół;
Lecz my puśćmy w krąg pełne kielichy –
Lepiej spaść z ławy niż w cmentarny dół!
Więc lejmy miód w brzuchy,
Tańczymy z uciechy:
Sześć stóp pod ziemią jest trudniej o śmiechy!

Już pora do domu, lecz niech mnie wciórności:
Język stoi kołkiem i krzywy mój krok!
Karczmarzu, każ Bietce usiąść przy gościu;
Żona nie czeka, więc wracam za rok!
Więc bądźcie uprzejmi,
Bo stoję już chwiejny,
Lecz grunt, że wciąż jestem po tej stronie ziemi!

Mniej więcej w tym czasie nabrałem dręczącego mnie do dziś lęku przed ogniem i burzami. Pierwej byłem na takie rzeczy obojętny, teraz przejmowały mnie niewysłowioną trwogą; ilekroć niebiosa rozsrożały się wyładowaniami elektrycznymi, zaszywałem się w najgłębszych zakątkach domostwa. Za dnia moją ulubioną kryjówką była zrujnowana piwnica spalonego dworu; w wyobraźni umiałem zobaczyć tę budowlę tak, jak wyglądała w latach świetności. Pewnego razu zaskoczyłem jednego z wieśniaków, prowadząc go pewnym krokiem do ukrytej głęboko pod ziemią płytkiej piwniczki, o której istnieniu najwyraźniej wiedziałem, mimo że od pokoleń nikt jej nie widział ani o niej nie pamiętał.

W końcu nastąpiło to, czego od dawna się obawiałem. Rodzice moi, zaniepokojeni zmianami, jakie zaszły w wyglądzie i zachowaniu jedyne go syna, poczęli wpływać na moje poczynania, poddając je łagodnemu szpiegowaniu – co oczywiście groziło katastrofą. Nie powiedziałem dotąd nikomu o swoich wizytach w grobowcu, już od dzieciństwa strzegłem swego sekretne go zamiaru z religijną wręcz żarliwością; teraz wszakże zmuszony byłem przemierzać leśną kotlinę starannie przemyślanym labiryntowym szlakiem, żeby